Dnia 6 lutego. № 10 roku 1838.

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

OSTATNIA Z ALBINICH.

(Dalszy ciąg.)

Ztemwszystkiem był on najspokojniejszym i najserdeczniejszym człowiekiem, który kiedykolwiek z wysokości gór do cywilizacyi wielkich miast przeszedł. Nakoniec hrabia Lanfranchi, najpiękniejszy mężczyzna w Wenecyi, któregośmy mieli zaszczyt woźć co wieczór z Signorą Aldini od dziesiątej godziny do północy po kanale, był najprzystępniejszym panem, jakiego w życiu mojem znałem. — Zmarłego hrabiego Albini nigdy niewidziałem; obraz tylko jego wisiał na wstępie do galeryi w kosztownych ramach, ale w jego twarzy, w jego ognistych czarnych oczach, w jego zimnych i szyderskich ustach, a nawet w jego postawie, leżał wyraz dumy i nieugiętej surowości, jakiej nigdy w tym pałacu nieodznałem. Byłto piękny obraz i obraz pięknego młodzieńca, który w 25 roku życia umarł w skutek pojedynku. Pozostawił on po sobie wielką sławę odwagi i mocy charakteru, ale mówiono zarazem, że żonę swoją uczynił nieszczęśliwą. Dawni słudzy jeszcze do tego stopnia lękali się nieboszczyka, że nigdy wieczorem bez uchylenia głowy nieprzeszli około tego obrazu. — Surowość jego była bezwątpienia dla hrabiny powodem do wielu cierpień, bo nigdy niechciała w nowe wejść związki małżeńskie. Czuła jednakże potrzebę kochania, ponieważ przyjmowała hołd hrabiego Lanfranchi. Po upływie roku jednego, kiedy hrabia już stracił wszelką nadzieję wpojenia w nią zaufania, wyznał jej, że pewna bogata dziedziczka nieodmawia mu swej ręki. Signora z wszelką wspaniałomyślnością rezygnowała na jego miłość, a choć przez parę dni zdawała się smutną i cierpiącą, po upływie jednakże jednego miesiąca, zajął xżę Montelagri miejsce hrabiego w łódce, a ja i Mandola woziliśmy znowu przez cały rok tę na pozór szczęśliwą parę po lagunach.

Ja czułem najżywsze przywiązanie ku hrabinie. Niemogłem sobie nic piękniejszego, nic lepszego nad nią wyobrazić. Kiedy ona piękne, prawie macierzyńskie spojrzenie na mnie zwróciła, kiedy z uśmiechem kilka słodkich do mnie rzekła wyrazów, — wówczas byłem tak dumnym, tak zadowolonym, iżbym dla jej upodobania największe udręczenia najcierpliwiej był znosił. Każde jej zlecenie najsumienniej dopełniałem; jeżeli się hrabina na mnie oparła, serce biło mi z radości, jeżeli białą rączkę swoją delikatnie położyła na moją głowę, aby xięciu Montalegri pokazać piękne moje włosy, wówczas duma oblała policzki moje rumieńcem. Jednakże patrzałem bez zazdrości na xięcia i przyjmowałem dobre żarty, jakich sobie panowie w Wenecyi pozwalają z gondolierami, aby ich dowcipu próbować. Xżę Montalegri był łagodnym i dobrym panem, któremu miałem wdzięczność za pocieszenie hrabiny po oddaleniu się Lafranchiego. Nieznałem nigdy tej uległości, która się przed pierwszeństwem urodzenia poniża; w rzeczach miłości niema ona nigdzie miejsca! Różnica wieku po-

między mną i hrabiną, niebyła tak wielką, żebym się w niej, niemógł zakochać. Niewiem istotnie, jakieby nadadź nazwisko temu uczuciu, które mnie wówczas ogarnęło. Możeto była miłość, ale czysta miłość, jak mój wiek młodzieńczy, spokojna miłość, ponieważ żadnej nieznałem próżności. — Oprócz mojej młodości i mego wesołego humoru upodobała sobie hrabina we mnie szczególniej smak mój do muzyki, widziała chętnie moje wzruszenie na każdy ton jej śpiewu, i zawsze przywoływać mnie kazała, ile razy brała arfę do ręki. Miałem sobie dozwolony wstęp do jej pokojów, wolno mi nawet było usiąść przy Salomei. Wolałaby ona bez wątpienia, gdyby obejście Salomei zemną mniej było surowem; ale ja się tej kobiety więcej obawiałem, aniżeli samej pani i dlatego niewychodziłem nigdy z granic przyzwoitej uległości względem niej. — Pewnego dnia zapytała mnie się hrabini, czym kiedy doświadczał mojego głosu? Odpowiedziałem jej, że miałem dość piękny głos, ale ten z czasem straciłem. Żądała potem, abym jej coś zaśpiewał. Opierałem się, ale ona obstawała przy tem i nakoniec musiałem uledz. Byłem bardzo zmięszany i mniemałem, że żadnego tonu z siebie nie wydam, bo już od roku wcale nie śpiewałem. Miałem wówczas siedmnasty rok. Głos mój wrócił znowu w tym czasie, choć ja o tem nic niewiedziałem. Zakryłem twarz moją rękoma i starałem się przypomnieć sobie zwrotkę z oswobodzonej Jerozolimy. Zebrałem całą moją odwagę i zacząłem z całych sił śpiewać, jak gdybym stał na środku morza. Niemiałem wyobrażenia o mocy mego głosu, i rachowałem na przytłumione tony, które się dawniej z piersi moich wydobywały. Obrazy na ścianach zadrżały przed moim potężnym głosem, a hrabina się uśmiechnęła. »Santo Dio!« zawołała Salomea, upuszczając swoją robotę i zatykając sobie uszy; »lew na placu Sgo Marka niemógłby okropniej zaryczeć!« Mała Albini, która się na kobiercu bawiła, z przestrachu płakać zaczęła. Co się z hrabiną, jej córką i Salomeą stało, niewiem; bo ja pędem strzały opuściłem pałac, przebiegłem ulice i stanąłem nakoniec na wielkiej łące, która się dzisiaj placem marsowym nazywa. Widząc się samotnym, zacząłem znowu śpiewać z całej siły, a miałem jej więcej, aniżeli którykolwiek z bardów przez Chioggotów podziwianych. Obawiałem się dotąd jej niedostatku, a teraz drżałem przed jej zbytkiem. Rzuciłem się na wznak w wysoką trawę i łzy roskoszy spływały po moich licach. Pierwsze łzy artysty! One tylko wyrównają swoją słodyczą i goryczą pierwszym łzom kochanka.

Powtarzałem znowu po sto razy pojedyncze strofy, które sobie przypomniałem. Im więcej śpiewałem, tem bardziej łagodził się surowy dźwięk mego głosu: czułem, jak przyjemnym stawał się odgłos mego organu. Śpiewałem z łatwością arye z oper, które od hrabiny słyszałem. Nic o tem niewiedząc, nauczyłem się wiele przez dwa lata. Metodę pojąłem jakby instynktem, a czucie sympatyą. Posiadałem dziwną łatwość i niepojętą pamięć. Com raz usłyszał, mogłem natychmiast powtórzyć. Już pierwszego dnia dałem tego dowody, śpiewając najtrudniejsze sztuki hrabiny od jednego końca do drugiego.

Noc położyła koniec mojemu zachwyceniu. Wówczas dopiero spostrzegłem, żem przez cały dzień służbę moją opuścił i że smutny powróciłem do domu.

Byłoto pierwsze uchybienie tego rodzaju i niczego więcej się nielękałem jak zarzutu Signory, jakkolwiekby takowy był bardzo łagodnym. Siedziała ona właśnie przy wieczerzy, a ja stanąłem za jej krzesłem. Nigdy nieusługiwałem jej przy stole, bom pozostał dumny, jak Chioggiota. Dziś chciałem jednakże sprostować moją winę przez rodzaj dobrowolnego upokorzenia, wziąłem więc od Salomei talerz porcelanowy i podałem go niezgrabnie hrabinie. Signora udawała z początku, jak gdyby na to niezważała, spojrzawszy jednakże na moją pokorną postawę, zaczęła się głośno śmiać. »Pani go zupełnie zepsujesz,« rzekła surowa Salomea. — »Dla czegóżbym się na niego miała gniewać?« odpowiedziała hrabini. »On się dziś rano sam przestraszył i uciekł, aby się ukarać. Założę się, że przez cały dzień nic niejadł. Idź więc i pożyw się, Nellino. Wybaczam ci pod tym warunkiem, abyś już nigdy niespiewał!«

Ta uwaga zdawała mi się gorzką i byłato pierwsza, którą mnie hrabina istotnie dotknęła. Duma rozwinęła się we mnie w całej sile, a przez pogardę mego głosu uczułem się mocno obrażonym. Od tego dnia począwszy, korzystałem coraz więcej ze śpiewu hrabiny. Każdego wieczora ćwiczyłem się na polu marsowem i czułem sam, że robię postępy. Wkrótce niewystarczała już dla mnie nauka hrabiny. Ona śpiewała tylko dla własnej przyjemności i niedbała o wydoskonalenie głosu. Uczułem niepowściągnioną chęć zwiedzenia teatru, ale w czasie pobytu w nim hrabiny, musiałem pozostać w łódce, gdyż Mandola chodził na parter lub przysłuchiwał się na korytarzach. Nakoniec pozwolił mi Mandola pewnego razu wejść na jeden akt do teatru Fenice. Grano: *»patajemne małżeństwo.«* Nie będę się starał opisywać wrażenie, jakie ta muzyka na mnie uczyniła; zaledwiem został przy zmysłach; nie powróciłem na łódkę po pierwszym akcie, jak obiecałem, ale dopiero kiedy wszyscy wyśli i świéce zgaszono, opuściłem teatr.

Uczułem teraz niepowściągnioną chęć bywania co dzień w teatrze, ale nieśmiałem prosić hrabiny o pozwolenie, obawiając się, aby się nienatrząsała z mojej nieszczęśliwej namiętnosci do muzyki. Jednakże musiałem umrzeć albo bywać w teatrze. Miałem mysl opuścić służbę hrabiny i opędzać potrzeby życia mego jako wyrobnik, aby tylko zyskać czas i środki bywania w teatrze. Obrachowałem, że przy pomocy małych oszczędności, ograniczywszy wydatki na niezbędnych życia potrzebach, będę mógł zaspokoić moją namiętność. Łamałem sobie także i nad tem głowę, czybym jako chórzysta lub posługiwacz niemógł dostać się do teatru. Nakoniec postanowiłem, zwierzyć się xięciu Montalegri. Opowiedziano mu moją muzykalną przygodę i z początku śmiał się ze mnie, ale kiedy mnie widział wytrwałym w moim przedsięwzięciu, żądał, abym mu cokolwiek zaśpiewał. Długo się wahałem, obawiając się jego szyderstwa, nakoniec drżącym głosem zaśpiewałem część aryi, którą raz w teatrze słyszałem. Moje zachwycenie udzieliło się i w części xięciu, poznałem po jego oczach, że mnie chętnie słyszy, uzbroiłem się w odwagę i śpiewałem lepiej. Podniósł on dwa czy trzy razy ręce, aby mi okazać swoje zadowolenie. Teraz śpiewałem zupełnie dobrze, a kiedym przestał, xiążę, wielki lubownik muzyki, uściskał mnie z zapałem. Chwalił mnie nadzwyczajnie, zaprowadził mnie do hrabiny i przedstawił jej moją prośbę, do której się natychmiast przychyliła. Ale i ona chciała słyszeć mnie śpiewającego, a ja niemogłem jej życzenia zaspokoić. Opór mój zadziwiał ją, ale nieściągnął na mnie jej gniewu. Dopiero pewnego wieczora uczułem potrzebę śpiewania, której się chętnie podałem. Hrabina i jej kochanek słuchali, ale mnie niezachęcili żadną oznaką zadowolenia. Tylko Mandola zawołał po kilka razy: *»corpo del diavolo!* jakiż piękny tenor.«

Obojętność, a raczej nieuwaga hrabiny obraziła mnie poniekąd; byłem bowiem przekonany, iż sobie od niej zasłużyłem na zachęcenie. W kilka dni później żądała ona odemnie, abym w obecności towarzystwa złożonego z kilkunastu artystów, zaśpiewał narodową barkarolę. Opierałem się znowu jej woli, a ona zniecierpliwiona, kazała mi być posłusznym. Pierwszy raz w mojem życiu widziałem ją tak rozgniewaną. Zamiast zastanowić się nad tem, że kikodniowe cierpienie, wynikające z niestałości xięcia Kontalegri rozdrażniło jej umysł i zmieniło na czas niejaki łagodny jej charakter, oświadczyłem bez ogródki, iż nieje tem jej niewolnikiem i nie do śpiewu, ale do kierowania wiosłem przez nią przezna zony byłem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Tęsknota. Pewien młodzieniec z Bretanii musiał zostać żołnierzem i przybył z pułkiem do Paryża; niemógł on jednakże zapomnieć ojczystych swoich lasów, pustych brzegów morza i cichych zabaw domu rodzicielskiego. Pewnego dnia, stojąc na warcie, usłyszał z daleka śpiew ludu Bretańskiego. »Słyszysz?« rzekł do swojego kolegi, »to jest piosnka mego ludu. Teraz i ja wkrótce powrócę do domu.« Towarzysz broni rozśmiał się i wszedł do izby. W krótce potem usłyszano wystrzał, żołnierze wyszli na ten odgłos z odwachu i przekonali się, że młody Bretańczyk z tęsknoty odebrał sobie życie.

Widelce. Piotr Damiani opowiada następujące wydarzenie w liście do pewnej damy, którą zbytkiem strofuje: »Doża Wenecyi ożenił się z pewną damą ze Stambułu, której zbytkowne życie wszelkie przechodziło wyobrażenie. Niechciała ona się nigdy w zwyczajnej myć wodzie, ale zmuszała służących swoich, aby dla niej deszczową wodę zbierali. Pokoje jej były tyloma woniami zakadzone, iżbym się wstydził wymieniać z nazwiska wszystkie te pachnidła, nikt bowiem nieprzywiązałby do tego wiary. Ale co przechodzi wszystko — owa kobieta niechciała nawet palcami jeść; jej sługi krajali mięso w drobne kawałki, a ona takowe dopiero za pomocą małego złotego narzędzia, opatrzonego dwoma ostremi końcami, do ust prowadziła.« — Ztąd się okazuje, że widelce za czasów Damianiego były we Włoszech przedmiotem zbytku.

FORTUNA.

Na pięknej łące, szybko, jak strzała,
Fortuna z swemi dary leciała,
Trzymała w ręku róg pełen złota,
Za nią jak pany, tak i chołota.
Potem oblana, z ostatnią siłą
Goni i goni fortunę miłą.
Ta niezważając na lasy, góry,
Gdzie bądź przeleci przez gmach natury,
Zawsze zostawi swe dary drogie,
Albo gdzie blisko radości błogie.
Leci przez strumyk, ten złotem płynie,
Przez gaik, ten już pięknością słynie,
Przez góry, kruszce w podział dostają,
Przez pola, plonem się uśmiechają.
Trafi na człeka, i ten bogaty,
Obsypie złotem choć liche szaty.
A więc kiedy tak wszystko zbogaca,
Dla czegoż bieda jeszcze się wraca?
Krótko odpowiem, cny przyjacielu,
Wszak szczęście zawsze leci bez celu,
Nigdzie się, nigdy niezatrzymała,
Nigdy też stale niezbogacała.
Zaświeci szczęściem, i z niem poleci,
A my ją dalej gonim jak dzieci,
Pragnionym trafem na nas napadnie,
W tenczas ją nietak popuścim snadnie;
I lubo umknie, jak jej zwyczajem,
To nietak prędko stratę poznajem.
A gdy poznamy, to znów w pogoni,
Zawsze my za nią, choć ona stroni;
O luba chwilo! z nami raz trzeci,
Już jej niepuścim już w mocnej sieci.
I gdy tak sobie słodko marzemy,
Fortuna w nogi, a my?... pomrzemy.

Marcelli z Ostrołęki.

* * *

GRÓB MATKI NA POWĄZKACH.

Zimowe wiatry przecię spoczęły,
Natura cała powabna, miła,
Już pączki wierzby pękać zaczęły,
Zielona trawka znowu odżyła.

Ojciec w żałobie otoczon dziatki,
Klęczał w śród smutku na grobie żony,
Na grobie drogiej sierotom matki,
Klęczał, w rozpaczy nieutulony.

»O sroga śmierci!« w śród jęku rzecze,
Czyliś nieumiała gdzie ciosu zwrócić?
Czyliż przed tobą nikt nieucieczze?
Czyliż bezkarnie chcesz wszystkich smucić?«

»Z objęć wydarłaś małżonkę miłą,
Z twej woli, pod tym spoczywa głazem,
Z twej woli pod tą świeżą mogiłą,
Skryła się cnota i dobroć razem.«

»Lecz próżne żale, miłe me dziatki,
Dzieciństwa zniknął dla was wiek złoty,
Jużto wam drogiej nie wróci matki,
Już wy nazawsze biedne sieroty.«

»Drogi nasz cieniu, tu na tym grobie,
Składają kwiaty świeżo zebrane,
Tu poświęcają łez kilka tobie,
I mąż i twoje dziatki kochane.«

Marcelli z Ostrołęki.
